Rok II. Kraków, dnia 1go Października 1870. Ner 19.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „Włościanina" Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

OD ADMINISTRACYI WŁOŚCIANINA.

W imię Boże rozpoczynamy numerem dzisiejszym nowy kwartał. Możemy sobie powiedzieć z czystém sumieniem, że robimy, co tylko jest w naszéj mocy. Chcemy poczciwie służyć Czytelnikom naszym i nieść im do chat pożytek i rozrywkę. Sami nie chcemy chwalić pisma naszego, niech je każdy sam oceni. Staraniem naszém będzie, ażeby je ulepszać coraz bardziéj, a w nagrodę chęci naszych prosimy o najłaskawsze popiéranie pisma naszego już to przystępowaniem do przedpłaty, już *nadsyłaniem kwot zaległych*, bo druk i papiér dużo kosztuje, a sami niejesteśmy zamożni. Kto zaś nie nadeszle zaległéj kwoty (a zwłaszcza prenumeratorowie kwietniowi) temu pisma przesyłać nie możemy, bo nas zmusza konieczność do tego. Reński na na trzy miesiące nie jest wielką sumą a dla nas potrzebą, abyśmy pismo nasze uczciwie prowadzić mogli. Teraz przecie po żniwach, grosz prędzéj się znajdzie, prosimy więc o pamięć.

W przyszłym numerze załączymy premiją *Kościuszki*, tym szanownym prenumeretorom, którzy przedpłaty do końca roku nadesłali i tym, którzy przedpłatę (zwłaszcza od kwietnia zalegającą) *niezwłocznie* przed 15. października nadesłać raczą.

Polecając się i nadal łaskawym względom i sercom Waszym, pozdrawiamy Was po naszemu:

Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W CHACIE FILIPA SIWKA.

Niedziela czwarta.

Téj niedzieli wielki ruch panował w chacie Filipa. Wszyscy wesoło byli usposobieni a najbardziéj Filip, bo to były imieniny jego żony. Na stołach w chacie jedzenia było podostatkiem: mięsiwo, kołacze i inne przekąski; w butelkach stało wino, w dzbankach i flaszkach piwo, a wódki nie znalazłeś ani kropli, bo Filip nie ciérpiał jéj jak złego ducha.

Zaledwie skończył się nieszpór, już ludzie cisnęli się do chaty Filipa. Dowiedziawszy się o imieninach żony, zaraz jéj życzyli szczęścia i powodzenia, a Filip tak powiada:

— Zanim siędziemy do stołu, przy którym nas uraczy poczciwa moja gosposia, chodźmy do ogrodu, tam dopowiem wam resztę, o czém wam nie skończyłem przeszłéj niedzieli....

— Dobrze, bardzo dobrze, kochany Filipie! — przemówili ludzie i szli prosto do ogrodu.

— A ty Franku! — rzekł Marcin — przynieś świéżéj wody, bo to dzisiaj parno, a nie byłoby dobrze przerywać opowiadania, gdyby ktoś odszedł napić się wody.

Za chwilę przyniósł Franek dzban wody i postawił go na trawniku.

— Czy ze źródełka? — pyta Filip.

— Ze źródełka! — odpowiedział wścibski Franek i śmiejąc się mówi daléj:

— Ale też to woda, woda, że się jéj odpić nie można! Zimna i świéża, że aż w zęby łupie. My mamy także dobrą studnię, ale woda z niéj niech się schowa przed waszą!....

— A czemuż to woda z waszego źródełka taka dobra? — zapytał Piotr Noworyta. — Przecież studnia, o któréj mówi Franek, nie jest tak daleko, a już co prawda, woda z niéj nie taka.

— Dobrze, żeśmy się tak zgadali — odpowie Filip. — Właśnie będzie mi składnie mówić o kwasie węglowym, czy on téż może być pożytecznym człowiekowi, jak się to przeszłéj niedzieli zapytał stary Sobek. Każdy z was, moi kochani, wié o tém dokładnie, że jak bez powietrza, tak i bez wody człowiek żyć nie może. A jest téż téj wody na świecie co nie miara, a tylko nie wielki znajduje się kawał ziemi, na który nigdy dészcz nie pada. A ziemia ta jest w gorących krajach, cała piaszczysta i kamienista. Człowiek jednak pić musi, to i tam umié sobie radzić na różny sposób, aby mieć wodę. Ale nie każda woda zdatna jest do orzeźwienia i ugaszenia pragnienia naszego. Wody z morza pić nie można, a tém więcéj jeszcze wody ze stawu, bagien i moczarów, bo jest bardzo szkodliwa zdrowiu. Kto chce pić taką wodę, musi ją filtrować czyli przepuszczać przez węgle, ale jest to tylko napój z wielkiéj konieczności i smakuje jak woda odstana, gotowana lub jak woda z rzéki, dészczu lub śniegu. Nie ma to przecie jak pić wodę ze źródełka, a szczególnie z takiego, które wypływa ze skalistéj ziemi. I ze studni bywa dobra woda, ale gdy jest w dobrém miejscu. Studnia, o któréj mówi Franek, stoi blizko gnojowiska i stajni, jakże więc może być w niéj dobra woda? Ze źródełka to i bydle ochotniéj napije się wody, bo czysta i świéża....

— A jak wy to rozumiécie, mój Filipie? — wtrącił wściubski Franek.

— Oto tak rozumiem! — odpowiedział Filip.— Gdy woda jest czysta, ma przeźroczystość; nie ma w niéj mętów i innych niepotrzebnych cząstek. W nauce zaś czysta woda znaczyłaby taką wodę, w któréj oprócz przeźroczystości nie byłoby żadnych składników wodzie właściwych; ale takiéj wody nigdzie nie ma na całym świecie. Można wszakże zrobić tak, iżby wodę pozbawić owych składników, ale będzie ona nie dobra, bo jéj braknie świéżości. Wszelako świéżość poznaje się dwojakim sposobem: raz, gdy jest dosyć *zimna*, lubo ją można oziębić lodem, chociaż nie nada się jéj prawdziwéj świéżości; drugi, gdy jest w niéj *coś takiego*, co jéj prawdziwą nadaje świéżość. Owoż to coś takiego jest właśnie kwas węglowy, który tu tak dzielnie wychodzi na pożytek człowiekowi. On to jest właściwą przyprawą wody; on nadaje jéj świéżość, że nas tak mile orzeźwia.

— Alež bójcie się Boga! Co wy téż gadacie, kochany Filipie! — zawołał zdziwiony Franek.— Przecież zeszłéj niedzieli mówiliście nam wyraźnie, że kwas węglowy jest zabójczym gazem, a dziś mu przypisujecie taką piękną własność?....

Na to powié Filip z rozwagą:

— Ale bo tak jest, nie inaczéj. Sam kwas węglowy może człowiekowi sprawić wielkie nieszczęście; rozpuszczony zaś w płynach, nie tylko, że nie szkodzi zupełnie, ale owszem działa orzeźwiająco. Znajduje się on w mniejszéj lub większéj ilości w źródłach i studniach. Jak każdemu, nawet dziecku wiadomo, woda wychodzi ze ziemi, a dostaje się tam z dészczu, śniegu, mgły i rosy. Z wodą tam się wciskającą dostaje się także kwas węglowy i tam się gromadzi. A każde źdźbełko, trawka; każdy listek, który się dostaje do ziemi, gnije, a ztąd znowu wywięzuje się kwas węglowy jakby w fabryce jakiéj. Woda przechodząc przez niego, zabiéra go z sobą i rozpuszcza go w sobie. Ale woda przechodzi także przez różne sole i wapno, a mając w sobie kwas węglowy, może je rozpuszczać i przyjmować w siebie, czegoby bez niego uczynić nie mogła. Mianowicie nie mogłaby rozpuścić wapna i magnezyi.

— A to i wapno jest w wodzie? — zapytał stary Sobek.

— A jakże — odrzekł Filip. — W każdéj prawie wodzie źródlanéj i studziennéj znajduje się rozpuszczone wapno. Do pewnego stopnia jest i ono w wodzie bardzo pożyteczne dla naszego ciała, bo z niego to tworzą się nasze kości. Woda więc pochłania kwas węglowy, którego z niéj ubywa powoli, gdy nie jest przykrytą lub na wolném stoi powietrzu. Prędko ubywa kwasu węglowego z wody, która płynie od źródełka, a jeszcze prędzéj z téj, którą gotujemy. A jak tylko on uniesie się w górę, rozłączają się także z wodą części wapienne, osadzają się na spodzie, bo nie ma kwasu, który był ich łącznikiem. Tym sposobem traci woda właściwą sobie przyprawę, a chociaż jest ona sama w sobie czyściejszą, to przecież nie przypada nam do smaku. Wodę ze śniegu można pić bez uszczerbku na zdrowiu, ale przecież nie jest ona taką smaczną w ciągłém użyciu, kiedy ludy w północnych krajach po dziesięciu miesiącach w roku, w którym to czasie ze śniegu piją wodę — z radością witają źródełko, które z dwumiesięcznem lecie wytryska ze ziemi. Nie o wiele lepszą jest dészczówka, którą w południowych krajach, w Wenecyi, Liwornie i innych na brak źródeł ciérpiących miejscach, w cysternach przechowują i do picia używają z braku świéżéj wody studziennéj. Ażeby zaś nie była miękką, dodają do niéj kawałki lodu. I wodę ze rzéki można pić w wielu wypadkach bez szkody, ale nie może ona nigdy zastąpić czystéj wody źródlanéj, bo jéj brakuje kwasu węglowego, bez którego woda ani nie orzéźwia, ani nie smakuje należycie....

Tu przerwał Piotr Noworyta i mówi:

— Ale ja w żaden sposób nie mogę zrozumieć, jakby to być mogło, żeby kwas węglowy nie szkodził, kiedy on zadusza ludzi i zwierzęta?....

Na to odeprze Filip i rzeknie:

— Przyczyna, z któréj gaz ten zabójczy raz szkodzi, drugi raz pokrzepia nasze ciało, jest taka. Gdyby się w czasie oddychania dostał do płuc, które i tak kwas węglowy wytwarzają, przeszedłby wnet do krwi; zwęgliłby ją w krótkim czasie i poraziłby mózg w głowie. Inaczéj się dzieje, gdy się dostanie do żołądka. Ztąd idzie do wątroby i przewodu kiszkowego, i nie sprawia szkody, owszem orzeźwienie. W każdym innym razie działa zabójczo.

— A czy on się znajduje tylko w wodzie do picia? — zapytał wściubski Franek.

— Ale gdzietam! — odpowiedział Filip. — Niektóre wody uzdrawiające mają go w znacznéj ilości. Obficie znajduje się on w wodzie szczawnickiéj, krynickiéj, salcerskiéj, dla tego wody te mają smak kwaskowaty. Przez wciskanie go pompką robią limonadę pieniącą się i proszki musujące. W winie szampańskiém, w piwie owsianém, w piwie zwykłém jest dosyć kwasu węglowego, który tworzy ową pianę i z gwałtownością wysadza korki. Gdy go zabraknie, mówimy, że piwo jest zwietrzałe, nie ma smaku i pienić się nie może. Ażeby się lepiéj przekonać o kwasie węglowym, można sobie tak postąpić. Wziąść wysoką szklankę napełnioną przynajmniéj do połowy wodą salcerską, owsianém piwem lub winem szampańskiém i przykryć ją na kilka minut. Banieczki, które jak perełki występować będą z płynu, nie są niczém inném jak kwasem węglowym. Dla większéj

ciężkości od powietrza zwykłego, nie ujdzie on prędko ze szklanki. Kto więc włoży w niego zapalony patyczek, natychmiast mu zgaśnie. Włożony chrząszcz lub mucha, giną od razu. Owoż ztąd wynika, że gdzie się gromadzi kwas węglowy, jak: przy robieniu piwa, wina, w głębokich studniach, jaskiniach, piwnicach — wejście tam bardzo niebezpieczne. Dnia 31. grudnia 1868 r. telegrafowano z Londynu, że w kopalniach węgla pod Urgau nastąpił wybuch gazów, w skutek czego 22 ludzi straciło życie.

Wszyscy słuchali z natężoną uwagą a Frankowi to się aż oczy iskrzyły od wielkiéj ciekawości. Aż nie mogąc już wytrzymać, tak się odzywa:

— Proszę was, mój Filipie, wytłomaczcie mi też to, o co was teraz spytam! Mówiliście, że w tylu a w tylu wypadkach tworzy się kwas węglowy; gdzie on się téż to podziéwa?

— Juźciż nie ginie! — odparł Filip — bo nic na świecie nie ginie, tylko się przemienić może. Np. węgle przez palenie przemieniają się w kwas węglowy i popiół, który mając w sobie wiele pożytecznych cząstek, jest bardzo dobrą rzeczą do uprawy ziemi. Kwas węglowy unosi się w powietrze jakby w skład jaki, a ztąd różnorako bywa spotrzebowanym. Część z niego pochłania woda, druga użyźnia ziemię, aby rośliny miały pokarm; trzecią spożywają rośliny, z czego w połączeniu z kwasorodem i wodą mają włókno roślinne, gumę, mączkę czyli krochmal, cukier i inne materyje. Ludzie zjadają rośliny i piją różne napoje, a z niemi przyjmują kwas węglowy, który jest dla nich niezbędnie potrzebny. Wiemy bowiem, że przez oddychanie wydzielamy kwas węglowy, a więc tracimy ustawicznie węgiel w nas będący. A czémże nagradzamy jego stratę? Oto przez pokarmy i napoje, które w sobie zawiérają węgiel. Z innéj znowu części kwasu węglowego tworzą się różne rzeczy.

Tu przestał Filip mówić, napił się wody a niecierpliwy Franek zaraz się pyta:

— A jakież to mogą być te rzeczy?

Na to powie Filip żywo:

— W połączeniu z wodorodem tworzy *asfalt* czyli żydowską smołę, oléj skalny czyli *naftę*, ciecz w wielu miejscach z ziemi wypływającą; tworzy gaz błotny a nawet gaz do oświetlenia ulic i kamienic w wielkich miastach. Gaz ten wyrabiają z węgli kamiennych w gazowni, od któréj idą podziemne rury, grube jak armaty, a od tych ciągną się rurki cieńsze do mieszkań ludzkich, a każda ma na końcu kurek. Gdy wieczorem z gazowni puszczą gaz do rur grubych, ludzie odkręciwszy kurek na końcu rur cieńkich, przytykają zapalony papiérek, a gaz ten mocnym świécić zaczyna płomykiem. Jeden taki płomyk oświéca wielką salę i ludzie wygodnie we wszystkich kątach pisać, czytać i szyć mogą.

— A to dopiéro ciekawe rzeczy! — przemówił ktoś ze słuchających.

— Pewnie, że ciekawe! — odrzekł Filip i tak prawił daléj:

— Kwas węglowy łączy się także z wapnem i z tego powstaje kréda i marmur. Kto naleje na nie mocnego octu, sprawi burzenie, bo kwas węglowy wydobywać się będzie. Powstanie zaraz plama i niczém zmyć się nie da, bo już kréda lub marmur będą zniszczone w tém miejscu. A rzecz ciekawa, że gaz ten może być płynnym i zsiąść się może, a zapomocą takiego zsiadłego gazu można zrobić 100 stopni zimna.

W tém odzywa się Szymon Ząbek:

— A powiedzcie nam teraz, kochany Filipie, gdzie to ze ziemi wydobywa się kwas węglowy?

— We włoskim kraju jest jedna jaskinia, którą psią grotą nazywają. W niéj wychodzi dużo kwasu węglowego, a ponieważ jest on cięższy od powietrza zwyczajnego, gromadzi się na samym dole. Gdy tam wejdzie człowiek, nic mu się nie stanie, ale gdy wejdzie pies lub inne zwiérzę nizkie, natychmiast płaci życiem. Jest znowu na wyspie Jawie dolina, zwana doliną śmierci, albowiem tam wszystko ginie. Cała dolina jest napełnioną kwasem węglowym. Nie ma na niéj żadnéj rośliny, ale za to same szkielety ludzi, zwiérząt i ptaków.

Tyle więc dobrego i złego sprawia kwas węglowy. Podziwiajmy jednak mądrość Bożą, że tak wszystko dobrze urządziła! Wszystko dla potrzeby i wygody naszéj. Ludziom nie braknie nigdy ani pożywienia, ani paliwa, bo wszystko w naturze w największym jest porządku, tylko nie leńmy się do pracy a Bóg wspiérać nas będzie!

Kiedy właśnie Filip wyrzekł te słowa, żona jego zapraszała pilnych słuchaczów na skromną biesiadę. A kiedy podawano piwo w butelkach, każdy uważał, jak kwas węglowy robił pianę, strzelał korkami, że ledwie flaszek nie porozsadzał. A Filip się przekonał, że nauka w las nie poszła.

Józef z Bochni.

HISTORYJA
O STACHU JEDYNAKU.

PRZEZ
Macieja Szarka.

I.
Staś zostaje Stachem.

W jednéj wiosce tam daleko,
Tuż przy lesie po nąd rzéką,
Żył Bartłomiéj stary, siwy,
Ludzki, szczéry i poczciwy.
Więc go wszyscy szanowali,
I sławili i kochali.
Że był rolnik, więc w oborze
Stało sześć krów, a na dworze —
Ule, drzewka, zboża stogi,
W stajni konie, z sianem brogi,
Owce, gęsi, kaczki, kury,
A i paw był lśniącopióry,
I sadzawka i sieć z matnią;
Słowem, miał się nieostatnio.
Żona znana z poczciwości;
W domu cicha i bez złości.
Cały dzionek niby ptacy,
Wciągłym byli ruchu, pracy,
Że od świtu aż do zmroku.
Wszystko mieli na swém oku.
To téż pan Bóg błogosławił,
I jak chcieli, wszystko sprawił.
A czy w święto czy w niedzielę,
Pamiętali o kościele.
I modlitwą słali dzięki
Za opiekę z Bożéj ręki;
Boć to wszystko Boska wola,
Że chléb ludziom daje rola.
Z dziatek mieli jedynaka.
Rósł jak dąbczak na próżniaka,
Bo chwalili w nim rodzice
Czarne oczko, gładkie lice...
I na każde Stasia słowo,
To z radością trzęśli głową.
I mówili: Masz Stasieczek,

Zwinny, śliczny jak ptaszeczek,
A choć młodych jeszcze latek,
Ma już starych rozum, statek,
Więc go strzegli, dogadzali,
W każdéj rzeczy wyręczali.
I choć chciałby złotéj rybki,
Kafli z pieca, z okna szybki,
Toby dali w jednéj chwili,
Bo tak mocno go pieścili.
Lecz do pracy, to broń Boże,
Bo się przerwać chłopiec może.
Wreszcie wietrzno, to czas chłodny,
To znów upał, chłopiec głodny.
Niech po polu biega, hasa,
Aż i wyrósł na dryblasa —
Jak pąk w maśle tłuściutkiego,
A jak jabłko rumianego.
I że przerósł ojca głową,
To sumienne daję słowo.
Więc rodzice aż płakali,
Jakby dziwo całowali,
I mówili: Dziecko złote!
Nie tobie to iść w robotę!
Z łaski Boga nie ubogo
W domu naszym i chędogo,
Więc ci nie zabraknie chleba,
Mieć go będziesz, ile trzeba.

BENEDYKT KOŹMIAŃCZYK.

SŁAWNY KSIĄDZ

z rodu mieszczańskiego.

Kraj nasz polski, znany z życia katolickiego i pobożnego, a zasłużony u Boga przez obronę wiary świętéj przeciw Tatarom, Turkom i innym poganom, zasłużony u wszystkich ludzi przez pomoc i ratunek dla uciśnionych dawany, został zabrany niesprawiedliwie od sąsiadów królów i césarzów i podzielony na trzy części. Jedna więc część dostała się podPrusaka,co nazywała się z dawien dawna Wielkopolską; dla tego, że w niéj ochrzcili się najpiérwsi Polacy i mieli tu najstarszego biskupa w Gnieźnie, co się zwał prymasem całéj Polski, a daléj siedzieli tu najpiérwsi królowie polscy; to w Kruszwicy, to w Gnieźnie, to w Poznaniu, gdzie pomarli i mają do dziś swoje groby. W téj Wielkopolsce jest miasteczko Koźmin, które wydało dużo pobożnych polskich mieszczan, a między tymi jest najzasłużeńszy Benedykt Koźmiańczyk, tak nazwany dla tego, że pochodził z miasta Koźmina. Ojcowie jego byli ubodzy mieszczanie, ojciec Mikołaj a matka Anna, oboje pobożni, zgodliwi, przykładni, a pracowici że gdyby tydzień miał nie 7. ale więcéj dni, toby im to było bardzo dogodne do ciągłéj pracy. Mieli skromny drewniany domek w Koźminie, który był znany wszystkim dla dobroci i miłosierdzia tych pobożnych małżonków.

Między ich dziećmi był im syn Benedykt bardzo ulubiony, bo był posłuchliwy, cichy, do każdéj roboty ochotny, a radość im robił znowu wielką, że codzień był w kościele i posłużył do każdego nabożeństwa zawsze najlepiéj. Niedziw też, że ojcowie myśleli ciągle i modlili się o to, aby ich syn został kiedyś dobrym polskim księdzem. Posyłali go też codzień rano i popołudniu do szkoły miejscowéj i wypytywali się zawsze pana nauczyciela, jak się uczy i sprawuje ich synek i prosili, aby go pilnował tak w szkole jak oni go pilnowali w domu. Miał więc mały Benedykt dozór dobry w szkole nad sobą, a w domu miał zawsze dobry przykład; musiał zrobić w domu robotę każdą, a potém się nauczyć, co było potrzebne do szkoły, a tak rósł w lata, a szkoła dawała mu rozum coraz lepszy; ojcowie uczyli go bojaźni Boga, a w kościele uczył się być dobrym, miłosiernym, sprawiedliwym dla ludzi. Był też z tego Benedykta chłopak bardzo stateczny, mądry, sprytny i tak do dobrego układny, że w całém mieście on był najznaczniejszy czy to w bractwie, w kościele, czy na zabawie jakiéj czy téż na robocie powszedniéj. Dobrze to mówią starzy:

— Nie ciesz się bardzo nieboże! bo nie wiész, co ci się jutro stać może; dziś ci służy do wszystkiego ochota, a za tydzień zostaniesz siérota; dziś jesteś panem, bo masz własne śmiecie, a za miesiąc będziesz błądził po dalekim świecie i szukał pomocy z zapłakanemi oczy! —

Tak się też przydarzyło i Benedyktowi, który miał już przeszło lat 20, a ojcowie przemyśliwali już o tém, aby go ożenić i dać mu jaki sposób do życia cnotliwego.

Umarli mu ojcowie w krótkim czasie, on został sam z siérotami! Płakał, dumał, przemyśliwał we dnie i w nocy nad swoim losem — ale miał rozum i radę na wszystko, bo się przecie nie darmo uczył w szkole. Otóż zostawił ojcowiznę braciom i siostrom, a sam postanowił iść między ludzi i szukać sobie chleba. Kto szuka, ten znajdzie; kto puka temu otworzą, kto prosi, ten dostanie, a kto ma ochotę do pracy i głowę na karku, ten przy Boskiéj pomocy nie umrze nigdy z głodu przy próżnym garnku, tak mówi pismo św. i starzy ludzie! Za taką radą dobrą poszedł Benedykt. Miał już 23 lat i był dorosły tak, że niejeden na takie lata, aniby pomyślał o dalszéj nauce, ale on przyszedł ubogi, bez żadnéj pomocy i znajomości aż do Krakowa z tą myślą, aby się jeszcze uczyć i dopiéro potém coś z sobą zrobić. Powtarzał sobie słowa, jakie się wyuczył w szkole: Nierozpaczaj opuszczona siéroto! i przy największéj biédzie, bo ma Bóg ojciec dla ciebie złoto a mają go i dobrzy ludzie". — A był wtedy w Krakowie król polski bardzo mądry, litośny Zygmunt I.

Byłoto roku pańskiego 1520. Wtedy cała rodzina królewska słynęła z wielkiéj pobożności, bo królewicz Kazimirz był świętym, drugi królewicz Fryderyk był biskupem w Krakowie i kardynałem, a inni królewicze byli królami wielce mądrymi i pobożnymi, bo ich na takich wyuczył i wyprowadził polski ksiądz i kanonik Długosz. Krakowianie wszyscy byli wielce pobożni i litośni, bo mieli przykład z góry, a znowu bogaci panowie robili fundusze rozmaite dla utrzymania w szkołach ubogich szkolarzy, jacy przychodzili do Krakowa z miast i wsi polskich na naukę.

Zapisał się Benedykt, 23 lat już mający, do szkoły w Krakowie, a nic sobie z tego nie robił, że in, ni młodzi szkolarze przymawiali mu z żartami: „Patrzajcie na tego wąsala, jaki przybył do nas zdalaaby się w książkach przezierać i nam młodym chléb odbierać!" On takim młodym żakom krakowskim znowu tak odpowiadał: „Ni młodemu, ni staremu, nie jest wstydem szkoła, a zaś ubogiemu, czy bogatemu wstydem głupia głowa". — I uczył się tak doskonale, że go profesorzy krakowscy za przykład wszystkim stawiali. A był wtedy w Wiśniczu niedaleko od Krakowa, bogaty mądry, uczynny, ale czasami i trochę pyszny pan Piotr Kmita, który nie żałował grosza dla każdego chudaka, jeżeli mu tylko smakowała nauka. Do tego pana Kmity dostał się Benedykt z pokorną prośbą o jaką pomoc na szkołę i otrzymał taki poratunek znaczny, że odtąd poszła biéda, jak to mówią, do worka na kołku, a jemu we

dnie i w nocy leżał pytlowany i bieluśki chléb na stołku, byle jeno jeść i uczyć się a dobrze. Dziękował też rano i wieczór przy każdym pacierzu Bogu za Opatrzność taką dla siéroty, a co święta, osobliwie na uroczystość św. Piotra i Pawła szedł piérwszy do pana Kmity, swego chlebodawcy i składał mu dzięki i życzenia na imieniny za łaskawe łożenie na szkołę i za ojcowską opiekę dla siéroty z dalekiego świata.

A zawsze sobie napisał sam z swéj głowy na pięknym papiérze takie mądre, dobrane i parzyste słowa dla pana Kmity, że jak je wypowiedział z pamięci bez myłki i zająknienia, to pan Kmita uradowany powiadał mu: Oho! ty mój Benedykteczku, nie masz głowy jak pudełeczko, ale piszesz i mówisz mądrze i ładnie i składnie, jakbyś już był panem kasztelanem! Tak, tak! ucz się! a może z ciebie siéroto uboga będzie kiedyś dla polskiego kraju ozdoba, a dla mnie ta pociecha, żem ci nie dawał darmo". Z ukłonem i łzami podziękował Benedykt za słowa dobre i ojcowskie panu Kmicie, a wróciwszy do domu, pracował po nocach nad książkami, aby dokonał tego, co mu p. Kmita przepowiadał. Dobrze to mówią starzy: „Tak nam się dzieje jak Boga prosimy i jak sobie sami zarobimy". — Tak się stało i z Benedyktem. Szły lata za latami i wody płynęły za wodami, Benedykt był starszym, ale i mądrzejszym i lepszym, uczył się i wyuczył na profesora, potém został księdzem i gadał takie kazania w Krakowie, że sam król i królowa i panowie i radni miejscy szli na te jego nauki, jak pszczoły na pole po miód słodziutki, a za jakiś czas gadano o księdzu Benedykcie Koźmiańczyku po całéj Polsce. Gdzie były odpusty wielkie, czy to na Kalwaryi krakowskiéj, czy w Częstochowie, czy w górach świętokrzyzkich w kościele św. Krzyża, to ksiądz Benedykt na uczał, kamiennych ludzi kruszył, grzészników nawracał, a p. Kmita radował się z tego i gdy bywał na jego dworze ksiądz Benedykt razem z Janickim, którego z chłopskiego stanu dał pan Kmita wyuczyć także na mądrego, to mawiał do nich: Ty panie Janicki sypiesz wiérszami, jak ja sypał dukatami, a ty księże Benedykcie rządzisz duszami, jak ja wojakami — ale obaj dobrze się wypłacacie Bogu i krajowi za moje ofiary dla was.

Pamiętał teraz zbogacony ksiądz Benedykt, że sam był ubogim i siérotą kiedyś, i że za pomocą Boga i ludzi dorobił się chléba, złota, chwały i honorów w polskim kraju, ztąd też opiekował się ubogimi szkolarzami w Krakowie i dzielił się chętnie każdym krajcarem.

Był on ojcem dla sierót takim, jakiémi byli dobrzy ludzie dla niego siéroty i Dla dobrych kazań i uczynków, dla miłosierdzia i zasług został kanonikiem krakowskim, a król Zygmunt August zrobił go swoim kaznodzieją na dworze królewskim i obsypał chlebem i honorami, jakich mu pozazdrościł niejeden bogacz. A to wszystko dała mu nauka dobra! Bez nauki byłby został nędznym mieszczaninem, byłby się nabiédował po uszy, a niezbawił duszy, a po śmierci jak i za życia byłby mało kto o nim wspominał. Przez naukę i pracę dorobił się tego, czego nie miał dziad i ojciec jego, czego nie miał nikt z jego miasta rodzinnego. Naukami i zasługami wsławił siebie, rodzinę i miasto, a na pamiątkę wieczną nazwany Koźmiańczykiem od miasta Koźmina. Pozostał na dworze królewskim w wielkich łaskach aż do śmierci; wszyscy biskupi polscy znali go i lubili, a najbardziéj lubił go Hozyjusz Stan. kardynał i oraz biskup warmiński, który często przesiadywał w Krakowie i miał piérwszy zawsze wstęp do samego króla. Umarł roku pańskiego 1559 w Krakowie. Żył 62 lat i leży pochowany w kościele OO. Dominikanów, gdzie nad jego grobem stoi pomnik z napisem: „Ziemia koźmińska mię wydała, Benedyktem nazwała, cała polska mię kochała — przechodniu życz mi wieczny spokój!

A wy, co to czytacie, pamiętajcie sobie, że dobra nauka i zasługa każdego, wiedzie do szczęścia i zbawienia wiecznego, jak to spotkało i Benedykta Koźmiańczyka. Uczcie się wszystkiego dobrego, kiedy i jak kto może, a Bóg wam dopomoże, że będziecie mieli zasługi, honory i dostatki i wieczny odpoczynek duszom waszym. Żyjcie z Bogiem!

Ks. Wojciech z Zaleszan.

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

I.

Kiedy Franek wszedł do karczmy, właśnie muzyka wiejska zagrała jakiegoś dziwacznego podrygasa.

Frankowi zaiskrzyły się oczy, tupnął nogą i krzyknął głośno:

— Teraz to mi się prawdziwie przypomina wojackie życie! Ej nie ma ci to — jak być wojakiem, a do tego takim zuchem jak ja!

Celina pociągnęła go za rękaw, bo już przeczuwała, że zły duch znowu go kusić zaczyna.

— Hej żydzie, dawaj wódki! — wrzasnął Franek zamiast spojrzeć na swoję żonę. — Dawaj muzykantom, a niech psiawiary grają takiego holt wojeńskiego! Hej ha!

— A to musiał jarmark dobrze wypaść! — zagadał jakiś zawalidroga.

— O, jużci, że nie inaczéj — odparł Franek podpiérając się pod boki. — Dzisiaj jestem sobie prawdziwy Niezdarowski a nie żaden Niezdara. Piéniążki w pasiku brzdęk, a toć nie lada sęk!

Celina bierze Franka pod pachę i chce coś mówić do niego; Franek pchnął ją łokciem, że się o mało nie przewróciła.

— O Matko Boska! — jęknęła z płaczem — Znowu nowe utrapienie!...

A Franek przystąpił do basisty i mówi:

— Grajże, graj, basisto, a będziesz pił wodkę czystą, a jak chcesz, nieboraku, to ci dam araku, a jak chcesz, to piwo, tylko graj mi żywo!

I muzykanci zagrali piskliwego mazurka, a kompan Franka śpiewa na całe gardło:

Choć mi biéda dmucha w oczy,
Tom ja przecie jest ochoczy,
Bo nadzieję kto utraci —
Niepokojem to przypłaci.
Wszak się szczęście toczy kołem;
Czemuż nie mam być wesołym?
Dziś źle, jutro dobrze będzie —
Miejmy zawsze to na względzie!

— Dobrze mówisz, bratku!—zawołał Franek— Pijmy wódkę!

I piją półkwaterek za półkwaterkiem, aż im się i na piękne w głowie kołować zaczyna. A żyd podwójną krédą pisze kréski na tabliczce i podmawia ludzi, by judzili Franka, bo to gość wyborny.

Widzi to Celina, fartuszkiem ociéra łzy z oczu, chciałaby mówić z Frankiem, ale się boi przystąpić do niego, a żal pieniędzy, które pewnie przepuści do grosza.

W tém Franek jakby ukropem zlany, puszcza się w taniec i dziwa dokazuje.

A kompany Franka piją na jego rachunek i jego poją, by go potém lepiéj wykierować.

Aż nareszcie mija północ a muzyce, tańcom i piciu nie ma końca. Widząc to Celina, zmartwiona i zapłakana poszła do domu zostawiając w karczmie niecnych rozpustników.

Położyła się do łóżka, ale ani rusz, snu przywołać nie mogła, bo się jéj okropne obrazy snuły przed oczyma.

Gdy się dowiedział Franek, że Celina poszła z karczmy, roześmiał się z przekąsem i rzekł do kompanów:

— Teraz dopiéro możemy się bawić, bo nie ma już mojego stróża!

— A i owszem, miły Franciszku! — odparł jakiś wąsal niby z słodką miną. — Wypędźmy muzykę a siądźmy do stolika, wszak do spoczynku dosyć jeszcze czasu!

— A i to prawda — dodał drugi kompan.— Zabawa taka po zmęczeniu właśnie będzie dobra!...

I jak zaczęli namawiać Franka, basować mu i przymawiać, tak ten nie wiele myśląc siada do stolika i piérwszy miesza karty. Wyjął pieniądze i położył na stole. Gracze mlasnęli językami, a serce głośno zapukało im w piersi. Muzyka poszła do domu i kilku pijaków także wyniosło się z karczmy; zostali sami tylko gracze. I jak z początku, tak i teraz pozwolili wygrywać Frankowi, aby w nim obudzić namiętność. Gdy tego dokazali, stawiali grubsze stawki, Franek się jątrzył i przegrywał raz za razem i ze zmartwienia popijał wodkę.

— Pijcieno, Franciszku! — mówili gracze— napijemy się świeżego! Wszak to nie za wasze pieniądze. My kazujemy!

I w niedługim czasie przegrawszy Franek sporo pieniędzy, wyszedł na dwór i obalił się na ziemię. Zaczął stękać, bić rękami i nogami, aż gdy go zebrało, leżał jak nie żywy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Berko Joselowicz. *)

SADOWNICTWO

przez

Prof. Dra Kozubowskiego.

(Dokończenie).

Tym sposobem wszystkie korzonki boczne cienkie, które się, do przyjęcia najwięcéj przyczyniają za każdém zaryciem wyciągają się z ziemi; jeżeli zaś napotka się korzenie boczne grube, które po za okrąg zwybierany daleko wybiegają, takowe w dostatecznéj długości nożem ostrym uciąć należy. Po obryciu takiém głębokiém i uwolnieniu korzeni bocznych, potrzeba drzewko lekko na bok poruszyć, aby pozostała przy niém ziemia rozsypała się, a tę wyrzuciwszy, przychodzi się do rozpoznania korzeni rdzennych czyli pionowych. Przy korzeniach tych podbiera się ziemia jeszcze głębiéj, lecz jeżeli są zbyt długie, przycinają się nożem w takiéj długości jak korzenie boczne, wyciąganie zaś siłą jest szkodliwe; gdyż nieraz większa sześć korzeni urywa się lub rozdziera, zwłaszcza gdy są bardzo poskręcane. Po wykopaniu należy wszystkie korzenie przy drzewku dokładnie obejrzeć i jeżeli się znajdą niektóre na końcach poszarpane, potrzeba je nożem zrównać. Po skróceniu i utracie wielu korzeni, pozostałe nie są już w stanie wszystkich gałęzi wyżywić i najczęściéj z tego to powodu przesadzone drzewka usychają, ale jeżeli i gałęzie skrócimy, utracona równowaga znowu się przywróci.

Wykopanych drzewek nie wystawiaj na działanie słońca i powietrza, gdyż korzonki nitkowate wkrótce zwiędną i uschną, lecz natychmiast na tém samém miejscu, gdzie były wykopane, albo gdzie indziéj w cieniu i wilgotnéj ziemi zadołowane być powinny; wyrywszy więc rowek, układają się w nim drzewka korzeniami i ziemią obsypują.

Obsychanie korzeni wydarza się najczęściéj przy dalekich przesyłkach; zaraz więc po odebraniu należy opakowanie odrzucić i drzewka w ziemi wilgotnéj zadołować.

Pozostawienie drzewek w wilgotném opakowaniu przez dłuższy czas w miejscu ciepłém jest również szkodliwém, rzucić się bowiem może pleśń i nadwerężyć korzenie, lub zawczasu poruszą się soki i drzewka wysilą się; i tu również zadołowanie w miejscu chłodném jest środkiem najlepszym. Posadzone drzewka wcześnie na wiosnę, jeżeli nastąpią niespodziane śniegi i mrozy znaczne, mogą nadmarznąć, zadołowanym zaś i poziomo na ziemi leżącym szkodzić nie będą a możesz je łatwo nakryć gałęziami świérczyny, choiny lub chrustem i słomą.

Z sadzeniem więc na wiosnę nie śpiesz się, ale jeżeli dołów nie ma, przygotuj je wcześniéj.

Doły pod drzewka najlepiéj jest wybiérać w jesieni, aby przez zimę wilgocią i powietrzem nasiąkły. Pod drzewka małe wybiérają się dołki na łokieć szérokie i głębokie, większe zaś potrzebują dołków obszerniejszych. Wierzchnia ziemia urodzajna i darń odrzuca się na jednę stronę, aby je dać późniéj na spód dołka, jałową zaś na drugą stronę dołka i da się ją na wiérzch.

Sadzenie drzewek na wiosnę, gdy obawa przymrozków ustaje i ziemia nieco się ogrzeje, jest dogodniejsze od jesiennego, ponieważ przy sadzeniu jesienném, potrzeba drzewka na zimę słomą osłaniać, a w słomie łatwo zagnieżdżą się myszy i drzewka pogryzą, dla tego to obsłanianie gałązkami drzew szpilkowych jest bezpieczniejsze.

*) Izraelita, sławny wojownik z powstania Kościuszki.

Przy sadzeniu drzewek dawanie pod nie nawozu świéżego okazało się szkodliwém; lecz jeżeli na przyległych zagonach jest ziemia glinkowata i od dawna uprawiana, dosyć jest zebrać ją z wiérzchu dla obsypania korzeni, lub wypełniania dołków. Można tèż przygotować sobie do sadzenia drzewek bardzo skuteczny kompost z ziemi darniowéj, wziętéj z gruntu gliniastego, która układa się w kopiec, aby trawa zgniła. Do ziemi téj, po jéj dwukrotném przerobieniu, dadaje się w $1/3$ lub $1/4$ części nawóz z krowieńca suchego w ciągu lata na pastwisku uzbiéranego, a następnie roztłuczonego i na drobne części rozkruszonego.

KALENDARZ.

Październik ma dni 31.

Dni.		Święta Rzymskie.
1	Sobota	Remigijusza, bisk. wyzn.
Ewangelija u Mat. św. w rozdziale 22. O miłości Boga i bliźniego.		
2	Niedziela	**17 po Swiąt. Różańcowa. Anioł.**
3	Poniedziałek	Kandyda i Lukrecyi, pp.
4	Wtorek	Franciszka Serafic. wyzn.
5	Sroda	Placyda, męczen.
6	Czwartek	Brunona, wyzn.
7	Piątek	Justyny, panny, męcz.
8	Sobota	Brygity, wdowy.
Ewangelija u Mat. św. w rozdziale 9. O uzdrowieniu paralityka.		
9	Niedziela	**18 po Swiąt.** Wincentego.
10	Poniedziałek	Franciszka Borg.
11	Wtorek	Filoneli i Placydy, pp.
12	Sroda	Maksymilijana, bisk. wyz.
13	Czwartek	Edwarda, króla, wyz.
14	Piątek	Kaliksta, papiéża, męcz.
15	Sobota	Jadwigi i Teresy.

WSCHÓD I ZACHÓD SŁOŃCA.

Wsch. sł. d. 2 g. 6 m.	4	Zach. g. 5 m.	53	Dł. d. g. 11 m.	29
7	6	11	5	23	11	12
1?	6	20	5	13	10	53

Piérwsza kwadra d. 1 g. 10. m. 7 wieczór.

Pełnia . . . . . . d. 9 g. 2. m. 31 wieczór.

CO SŁYCHAĆ W SWIECIE?

Jakim sposobem przegrał Mac Mahon, tak piszą w Katoliku. Schwytano niespodziéwanie oficera francuzkiego, który między podwójnemi podeszwami miał ważne depesze, ażeby uderzyć na wojska niemieckie. Te uderzyły na Francuzów i dnia czwartego poddała się armija francuzka z 80,000 ludzi złożona, a z nią i Napoleon, na co sam zezwolił.

Rząd francuzki ogłosił, iż Francuzi nie spoczną prędzéj, dopóki Prusacy wypędzeni nie zostaną. Z innych stron donoszą, że mocarstwa neutralne zbroją się na dobre. Stoimy w przededniu wielkich wypadków w całéj Europie. Ameryka, Hiszpanija, Szwajcaryja dobrze przyjęły rzeczpospolitą francuzką.

Garybaldi ma przyjść w pomoc Francuzom z 15,000 strzelców alpejskich. Z Ameryki spodziéwają się posiłków.

Prusacy, jak już powiedzieliśmy, wywieźli Napoleona do Wilhelmshöhe. Siedząc spokojnie, zdaleka od pobojowisk zasłanych trupami i od huku dział, szachruje o tron francuzki z Bismarkiem, który mu przyrzekł, że go wprowadzi do Paryża, ale obywatele własnemi piersiami zasłonią rzeczpospolitą francuzką od tego nieszczęścia.

Dostały się w ręce rewolucyjnego rządu papiéry Napoleona. Ułożono komisyją do ich zbadania i ogłoszenia publicznego. Z nich się dowié świat o całym szeregu matactw cesarskich przeciw narodowi.

Ponieważ Prusacy idą na Paryż, i będą go oblegać, rząd przeniósł się do *Tours*. W Paryżu pozostali tylko członkowie, którzy kierują obroną miasta. Wszyscy, którzy w obronie udziału brać nie będą, wyjeżdżają.

Zapał wojenny między ludem jest nie do opisania; żywności mają dosyć. W koło Paryża Francuzi wypalili lasy, aby nie służyły nieprzyjacielowi do osłony. Po ulicach robią barykady.

W obozach pruskich panują różne choroby; mnóstwo żołnierza ginie na tyfus. Popaliwszy wsie okoliczne, muszą w obecnéj przykréj porze jesiennéj stać w barakach na prędce skleconych.

Twierdza Strasburg i Tour bronią się dzielnie. Fortecę Laon, którą zajęli Niemcy, wysadzili Francuzi w powietrze, i z nią wyleciało 600 wrogów w powietrze i żaden swoich kości nie pozbiéra chyba na ostatnim sądzie.

Po długiéj zwłoce, zdecydowali się wreście Włosi na zajęcie Rzymu i przyłączenie do zjednoczonego królestwa. Gdzie bądź wojsko włoskie się pokazało, lud mu otwiérał bramy miasta z uniesieniem. Usposobienie Włochów jest republikańskie.

Paryż 20 września. Służba pocztowa przerwana; urządzono kuryjerów. Zewsząd nadchodzą wieści o szczęśliwych potyczkach. Od czasu ogłoszenia rzeczypospolitéj nie przegrano żadnéj potyczki. Poddać się i kapitulować nie wolno.

W Paryżu jest oprócz obcych, 410,000 uzbrojonych obrońców. Uchwalono sprzedać klejnoty koronne.

Toul atakowali znowu Prusacy 19. września. Atak został odparty, bateryje Pruskie zniszczono.

Z Petersburga donoszą: Uchwałą ministerstwa zarządzono, by więźniowie narodowości polskiéj mieszkający na Syberyi, i skazani na ciężkie roboty, przewiezieni zostali na wyspę japońską Sachalin. Kilka oddziałów tych więźniów odesłano już na te wyspę. Innych więźniów ma rząd wywieźć na przyszłą wiosnę. Powodem tego rozporządzenia ma być dostrzeżenie, jakoby Polacy mieli wywiérać pod względem politycznym niekorzystny wpływ na ludność Syberyjską.

Dwa korpusy z pod Metz odwołano pod Paryż. Widać, że o zdobyciu twierdzy prusacy już zwątpili, a pod Paryżem za mało mają wojska.

Minister francuzki udał się do Londynu, i prosił Anglii, aby mu wyjednała u Bismarka posłuchanie. Bismark odpowiedział, że chociaż nie uznaje obecnego rządu francuzkiego za prawy, jednak przyjmie Favra u siebie. Układa się on o pokój dla Francyi. Urzędowe gazety angielskie, austryjackie i niemieckie przemawiają za pokojem. Francyja pragnie

najlżejszych warunków; Prusacy jak największych. Warunki mają być następujące:

Wynagrodzenie kosztów wojny, które obliczają na 500 milijonów talarów.

Wynagrodzenie wszystkich rodzin niemieckich, które z Francyi podczas wojny wypędzono, co wynosi 200 milijonów.

Francuzkie prowincyje Alzacyja i Lotaryngija mają być do Niemiec przyłączone. Nadto żądają Prusacy od Francuzów połowy floty (okrętów wojennych).

Co się tyczy Paryża, miał rzéc król pruski, że nie ustąpi, aż wojsko wkroczy do Paryża, bądź dobrocią bądź złością. Wzięcie Paryża dużo krwi kosztować będzie Niemców.

Dotychczasowe straty pruskie w zabitych i rannych i chorych wynoszą blizko 300.000 ludzi. — Szturmem Paryż wziąść się nie da. Zwycięztwo bardzo wątpliwe dla Prusaków i tyle pewna, że się nie cofną i stosami trupów wypełnią rowy paryzkich fortyfikacyj, byle tylko zadać Francyi cios stanowczy. Odwrót z pod Paryża, to ostateczna klęska, cios śmiertelnyn dla Prusaków.

Bazai e trzyma się uparcie w Metz, które ma być dobrze w żywność zaopatrzone. Jenerała, który mu przywiózł rozkaz poddania się, kazał rozstrzelać. Prusaków do 120.000 zasłabło na nogi, tak, że armija postępować nie mogła szybko.

Dziś stoją Prusacy pod Paryżem, ale do oblężenia jakoś się nie biorą.

Francyja jako rzeczpospolita chciała pokoju. Fawre przystał na wynagrodzenie kosztów wojennych w kwocie przeszło 1.000 milijonów; chciał odstąpić część floty, znieść wszystkie fortece w Alzacyi i Lotaryngii, a między niemi Metz i Strasburg. Prusy o tém wiedzieć nie chcą, ale pragną kraj i naród francuzki upokorzyć. Słysząc o tém rzeczpospolita, zwołała wszystkich, którzy tylko broń dźwigać mogą. Teraz dopiéro będą najokropniejsze bitwy z rozpaczy, ażeby sobie potém powiedzieć: Chociażeś! my wszystko utracili, ale zachowaliśmy honor.

Wiadomości z Paryża d. 23 września są bardzo dobre. Tego dnia była bitwa cały dzień. Francuzi odnieśli zwycięztwo. Donoszą d. 26. z Orleanu, że chwytają wielu szpiegów pruskich. Nad Paryżem unosi się wielki balon, z którego jest urządzony telegraf do ziemi. Donoszą z niego komendantowi o stanowisku Prusaków, z którego to powodu kilka szczęśliwych odbyto potyczek.

Dnia 28 donoszą, że Francuzi pobili Prasaków na wszystkich punktach pod Paryżem. Dowóz żywności dla Prusaków jest utrudniony. Drożyzna tam niesłychana. Kilogram mięsa kosztuje 2 franki i 10 centimów. 50.000 Bretańczyków dało sobie rękę, że będą walczyć na śmierć i życie. Poddać się Prusakom nie wolno. Kto się podda, będzie skazany na śmierć i hańbę, a dom jego będzie spalony.

Z Warszawy piszą, że ludność polska obstaje za Francuzami. Dzienniki rosyjskie mają się wściekać ze złości na zwycięztwa pruskie. Twierdzę Toul zabrali Prusacy. Przez to będą mieli łatwiejszy dowóz żywności. Strasburg i Metz nie chcą się poddać. Mówią Prusacy, że ich zdobyć niepotrafią.

Dnia 20 września wkroczyły wojska włoskie do Rzymu. Czekajmy cierpliwie, co to dalej będzie.

ROZMAITOŚCI.

Piękny przykład. Pan Konstanty Rucki, właściciel niedawno nabytego Machowa, kazał znieść zupełnie karczmę stojącą naprzeciw jego dworu, plac zaś z podworcem i pozostałym murem darował na wieczne czasy gminie pod warunkiem postawienia na nim szkoły; dla ułatwienia czego dodał 50 złr. (co też równie dla włościan drugiéj wsi swojéj Ocice uczynił) tak że dzisiaj na miejscu owéj karczmy stoi budynek gotowy na szkołę. Pan Rucki zamierza nie stawiać żadnéj innéj karczmy w swéj majętności. Daj Boże, żebyśmy takich pięknych przykładów więcéj podać mogli, a byłaby korzyść wielka i szczęście dla naszego ludu.

Osobliwości. Najwyższa wieża jest przy kościele św. Marcina w Landshut w Bawaryi, ma bowiem 454 stóp wysokości. Po piramidzie Cheopsa około Memfis w Egipcie, mającéj 457 stóp wysokości, jest wieża landshucka najwyższą budową na ziemi. Wieża tumu (kościoła katedralnego) w Antwerpii ma 446 stóp wysokości; monasteru (klasztoru) w Strasburgu 437½; kościoła św. Szczepana w Wiédniu 425 monasteru w Fryburgu w ks. Badeńskiém 356; monasteru wUlm 337; wieża kościoła Panny Maryi w Krakowie ma 255 stóp wysokości i jest najwyższą w całéj Polsce.

Gdy się do odmętu Dunaju wrzuci okrągły drewniany przedmiot, wypłynie napowrót w jeziorze Neuburgskiém na Węgrzech.

Zdania moralne. Pewniejszy dzień pracy, niż sto dni próżniactwa. — Dobrze jest znać drugich; najpiérwéj jednak trzeba znać siebie. — W gniewie wypowiadają ci twoje wady; korzystaj ze sposobności i użyj poprawy. Wystrzegaj się złości, bo ona liczne sprowadza nieszczęscia. Za złość nieraz srogo pokutować trzeba!

Zagadka. Jestem w polu i ogrodzie,
I służę wam ku wygodzie,
Bo mię często teraz jécie;
Gdy mi głoskę przyczepicie,
Będę zwiérzem, wodę lubię,
Lecz tu jestem już w zagubie.

Od Redakcyi.

Pan Chociszewski najnieszlachetniéj i najniesumienniéj postąpił sobie z nami. Prosił nas o grzeczność zrobiliśmy zadość jego woli. Tymczasem ani nie nadesłał książek, za które mamy piéniądze, ani nie odpowiedział na sześć naszych listów. Przepraszając najuprzejméj szanownych czytelników za zawód, jaki powstał nie przez naszą winę, ogłaszamy, że zwrócimy piéniądze tym, którzy je nadesłali, i prosimy, by nadal nikt nie robił zamówień na dziełka p. Chociszewskiego, bo mu na włos wierzyć nie można. Inne książki, które polecimy, każdy z pewnością otrzymać może.

Numera wysyłamy najregularniéj; ktoby którego nie otrzymał, prosimy o zareklamowanie w liście nieopłaconym i niepieczętowanym.

Artykułu o różnych krajach i ludach nie mogliśmy umieścić dla braku miejsca.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W. Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.